



## Duchowni wielkiego ducha

### Duchowni w Polsce

**W Polsce jest około 30 tysięcy księży i zakonników. Większość po prostu zajmuje się wiernymi, ale część lepiej odnajduje się w pracy w hospicjach, w wyciąganiu z moralnego szamba lub w zarabianiu pieniędzy dla Kościoła.**

Mariusz, który w więzieniu w ławie odsiadywał 15 lat za zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem, sprawę postawił jasno: - Żadnej indoktrynacji, bo jestem niewierzący.



Chciał się tylko zapisać do kółka komputerowego, które organizował kapelan więzienny ksiądz Kazimierz Tyberski. Mariusz siedział za zabicie pracownika, którego szef zakładu zatrudnił na jego miejsce. Zbrodnię przygotował perfekcyjnie, nie zostawił żadnych śladów i cały proces, w którym skazano go na długoletnie więzienie, był poszlakowy. Siedząc w więzieniu, Mariusz przez wiele lat nie przyznawał się do winy i utrzymywał, że jest przypadkową ofiarą procesu sądowego.

Na Mariuszu ksiądz Kazimierz Tyberski przetestował kilka swoich zasad, które wykorzystuje w prostowaniu skazańców.

Najważniejsza brzmi: każdemu jest potrzebny Bóg, bo każdy ma potrzebę szczęścia, tyle że nie wszyscy więźniowie o tym wiedzą. Zaczynają go poszukiwać, gdy wypełnia ich pustka egzystencjalna. A wtedy trafiają do księdza Tyberskiego, który jest przedstawicielem Boga w kryminale.

Kolejna zasada: więzień sam musi poprosić o pomoc, bo kapelan się nie narzuca. - Nie jestem panienką w czarnej sukience, która chodzi od celi do celi, by uwodzić więźniów - mówi ksiądz Tyberski.

Nie mniej ważne są dwie kolejne zasady - przyznania się do grzechu i uczciwości.

Ksiądz czeka tydzień, miesiąc, rok, aż więzień pęknie i zaczyna się otwierać. Wtedy realizowany jest proces przesiąkania, który trwa aż do końca wyroku. Ksiądz jest przekonany, że człowiek przesiąka tym, co go otacza. Więc kiedy siedzi w szambie, przesiąka szambem. Kiedy zaś trafia do grupy księdza Tyberskiego - przesiąka dobrem.

## **Ksiądz prostownik**

Dlatego Mariusz, który był zły do szpiku kości, nie tylko się nawrócił, ale wyjawiał całą prawdę o popełnionej przez siebie zbrodni. Potem napisał list do rodziców zamordowanego przez siebie chłopaka, prosząc o wybaczenie. I chyba jest dziś innym człowiekiem. Po wyjściu na wolność z kolegą z kryminału założyli firmę, w której zatrudniają byłych więźniów próbujących na wolności odnaleźć się w nowym życiu. Daje im dach nad głową i utrzymanie do usamodzielnienia.

- Jak tych skazańców zainteresować Bogiem? To był największy mój problem - wspomina ksiądz Tyberski. - Ich nie ruszają teksty o miłości bożej i nawróceniu. Przyniosłem więc z sobą komputer.

Do kółka komputerowego mógł się zapisać każdy - czy wierzy w Boga, czy nie. Ksiądz wybrał 12 więźniów. - Połączyła nas praca - mówi kapelan Tyberski, który z wyglądu bardziej przypomina zapaśnika klasycznego niż księdza.

Zanim trafił do klasztoru, był komandosem w czerwonych beretach i kierownikiem brygady remontowej. Ćwiczył walki wręcz, ale odkąd został księdzem, tylko raz to wykorzystał, gdy więźniowie pobili mu się przed konfesjonalem. Poczul powołanie, gdy miał 25 lat. W 1992 roku został kapelanem w kobiecym więzieniu w Lublińcu, a cztery lata później trafił do ławy.

Mordercy, złodzieje, gangsterzy mówią do niego „ojcze”, a jak się już bardzo z nim zżyją, to nawet „tato”. Przez ręce księdza przeszła cała więzienna elita: gangsterzy z Pruszkowa, przedstawiciele klubu płatnych morderców z Trójmiasta, złodzieje, bandyci, narkomani, a nawet jeden satanista. Ze statystyk kapelana wynika, że w ciągu ostatnich 10 lat wyprostował życiorysy około 60 rzezimieszków.

Szczególnie dumny jest z kilku. Wśród nich jest Ukrainiec Włodek, były ochroniarz w burdelu, który zakochał się w prostytutce i zabił jej chłopaka. Odsiedział osiem lat, a dziś jest na trzecim roku studiów w Kijowie. Artur, jeden z bohaterów filmu „Dług” skazany za podwójne morderstwo, ma teraz internetowy sklep i handluje sprzętem komputerowym. B. jest informatykiem we Włoszech. Piotr właścicielem firmy w Anglii.

Ksiądz przyznaje, że zdarzają się wyjątki. Jak na przykład Jacek, który w grupie spędził zaledwie kilka miesięcy. Po wyjściu na wolność znowu kradł i napadał na ludzi.

- Chociaż i w nim nastąpiła pewna przemiana - zauważa ksiądz Tyberski. Kiedyś był

bardzo brutalny i swoje ofiary przypiekał żelazkiem. Teraz się zmienił. Starsza pani, którą ostatnio napadł, zeznała w sądzie, że co prawda związał ją, ale położył na łóżko i wsunął poduszkę pod głowę. Szepnął też do ucha: "Babciu, nie bój się, nic złego tobie nie zrobię".

To, co ksiądz Tyberski lubi najbardziej, to patrzeć na ręce gangsterów, których grube paluchy, nawykłe do trzymania noża lub pistoletu, pod wpływem dobra zaczynają przekładać paciorki różańca. Mówi im wtedy: - Ludzie zapamiętali cię jako bardzo złego człowieka. Jak stąd wyjdiesz i rozpoczniesz nowe życie, być może zyskasz ich zaufanie. Ale nie będzie to łatwe.

## **Misja na Długiej**

W odróżnieniu od kapelana Tyberskiego ksiądz Andrzej Augustyński główny nacisk kładzie na to, by jego podopieczni do więzienia w ogóle nie trafili.

Odbiera telefon śpiewnym "helloo". W bordowym swetrze i koszuli w kratkę wygląda bardziej na wyluzowanego biznesmena niż na księdza misjonarza. Nie nosi sutanny. Twierdzi, że nie ma jej wcale. Nieczęsto zakłada koloratkę. - Są tacy, którzy na widok księdza sztywnieją. Boją się, że będzie sprawdzał, czy chodzą na religię albo do spowiedzi - tłumaczy.

Trudno go sobie wyobrazić, jak rozdziela bijących się nastolatków lub wyważa drzwi do pokoju, w którym jeden z wychowanków trzyma narkotyki.

Oficjalnie ksiądz Augustyński jest misjonarzem świętego Wincentego a` Paulo, dyrektorem generalnym Centrum Młodzieży "U Siemachy", członkiem zespołu przy Sejmowej Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych, współtwórcą i koordynatorem Miejskiego Programu Przeciwdziałania Przeszłości Młodzieży w Krakowie i przewodniczącym Komisji do spraw Charytatywnych Rady Duszpasterskiej Archidiecezji Krakowskiej. Jest jedynym polskim księdzem mianowanym pełnomocnikiem prezydenta miasta.

- Przez sześć lat, studiując filozofię i teologię, przygotowywałem się do pracy misyjnej. Dziś moja misja jest ledwie 83 kilometry od Tarnowa, gdzie się urodziłem - śmieje się. - Tu odkryłem, że dzieciom, które mają rodziców, może się żyć gorzej niż sierotom z biduła.

Jako student był wolontariuszem w domu dziecka, potem podróżował po świecie i się uczył. Po powrocie do Krakowa miał zarządzać zrujnowanym budynkiem przedwojennej fundacji charytatywnej księdza Siemiaszki. Domu nie chciało nawet mieszczące się tu wcześniej pogotowie opiekuńcze.

Zaczął się od grup szybkiego reagowania rozwiązujących osiedlowe konflikty i zachęcających do odwiedzania "U Siemachy". Potem młodzi dostali szansę tworzenia kolejnych ośrodków samodzielnie, z niewielką pomocą dorosłych, a skończyło się na powierzeniu księdzu Augustyńskiemu zadania stworzenia miejskiego programu przeciwdziałania przestępczości.

"Siemacha", podobnie jak więzienne kółko komputerowe księdza Tyberskiego, to autentyczny sukces wychowawczy. Sześć domów, ponad tysiąc dzieciaków, dwa rodzinne domy dziecka, grupa usamodzielniająca dla młodzieży i specjalistyczna poradnia - Krakowski Instytut Psychoterapii. Augustyński nie ma problemów ze zdobywaniem pieniędzy: - Jak jest pomysł i plan, to pieniądze się znajdą - przekonuje. To z inicjatywy księdza Augustyńskiego "Siemacha" nie jest ośrodkiem duszpasterskim. Choć podobnie jak Tyberski Augustyński uważa, że wychowanie bez Boga nie jest możliwe.

- W naszych placówkach formacja religijna odbywa się niepostrzeżenie, co nie znaczy, że nie przynosi rezultatów - tłumaczy. - Naszym zadaniem jest budowanie środowiska młodzieżowego i dostarczanie wartości społecznych takich jak akceptacja, przyjaźń, bliskość. To w jakimś sensie także jest ewangelizacja. Nie można bowiem kochać Boga, którego się nie widzi, jeśli nie kocha się człowieka, który żyje obok nas.

W Wielkim Poście ksiądz odprawia na korytarzach ośrodków drogę krzyżową. Trwa cztery minuty.

Na Dzień Dziecka w 2002 roku Augustyński przygotował swoim wychowankom niespodziankę: każdy z 650 jego podopiecznych mógł polecieć samolotem. Sam od ponad 20 lat lata na szybowcach. Inną swoją pasję - podróże - też zaszczepia w dzieciakach. Wyjazd na wakacje jest nagrodą dla tych, którzy ciężko pracowali przez cały rok.

Przez "Siemachę" w ciągu 13 lat jej istnienia przewinęło się już kilka tysięcy dzieciaków. Może tam przyjść każdy, ale by zostać, musi się zobowiązać, że będzie uczęszczał regularnie na zajęcia i będzie akceptował zasady obowiązujące w ośrodku. Do pozostania zachęcają ich liderzy - wyłonieni przez społeczność, a nie mianowani odgórnie. Po latach liderzy zaczynają pełnić odpowiedzialne funkcje publiczne, jak Anna Michałekiewicz - dzisiaj dyrektor jednej z placówek "Siemachy", czy jak Monika Szwaczka - radna jednej z dzielnic miasta Krakowa.

## **Obozowy zarządca**

Kilkudziesięciu mężczyzn powoli idzie drogą wśród pól. Każdy trzyma w ręku różaniec i głośno odmawia "Zdrowaś Maryjo". Mieszkańców Gieźkowie koło Koszalina nie dziwi już taki widok. Chłopcy przyjeżdżają do miejscowego starego dworku od ponad pięciu lat.

Sąsiedzi zdążyli się przyzwyczaić do modlitewnych spacerów narkomanów, którzy na co dzień ciężko pracują, a na dzień dobry odpowiadają "Szczęść Boże!".

Ksiądz Waclaw Grądalski naoglądał się wiele takich wraków młodych ludzi, którzy umarli za życia. - To, co w życiu zrobili, ile osób skrzywdzili, wystarczyłoby na kilka życiorysów - opowiada. - Czasem ich cierpienie mnie przerasta. Ale gdybym nie wierzył w nawrócenie, nie brałbym pensji księdza.

Obóz księdza Grądalskiego to skrzyżowanie więziennego kółka księdza Tyberskiego z pogotowiem księdza Augustyńskiego. Narkomani nie mają telewizji ani książek, z rodziną mogą się spotkać dopiero po dwóch latach, a same ośrodki, które należą do włoskiej wspólnoty Cenacolo, są porzucane po 40 krajach. Trzema znajdującymi się w Polsce kieruje ksiądz Waclaw.

"Cenacolo" znaczy po włosku "wieczernik". Wspólnota powstała w 1982 roku jako dzieło włoskiej siostry Elwiry Petrozzi. - Jak spojrzeć z boku, to są to bardzo dziwne miejsca i dziwne metody walki z nałogiem - tłumaczy Grądalski. - Chłopaki są bez psychologów, bez terapeutów. Ale o dziwo, to się sprawdza. Książek nie ma, bo nie chcemy, by uciekano za ich pośrednictwem w samotność. Do pracy i modlitwy nikt nie zmusza. Odcięcie od rodziny, znajomych, często nawet od ojczyzny, ma zapobiec niepotrzebnym pokusom.

Założenie jest proste: jak najmniej samotności, czasu na zbędne rozważania. Przez cały dzień praca, która polega głównie na utrzymaniu ośrodka, gotowaniu, sprzątaniu lub spotkaniach i rozmowach z innymi leczonymi. W miejscu, gdzie trzeba wcześniej rano wstawać, gdzie nie ma rozrywki, tylko ciężka praca oraz cierpienie, uświadamiają sobie, co znaczy ofiara, co znaczą wyrzeczenia. Później znajdują radość nawet w małych sprawach.

W polskich ośrodkach jest około stu uzależnionych, a dwustu Polaków leczy się na całym świecie. - I to działa. Skuteczność wyleczenia sięga aż 80 procent - cieszy się ksiądz Grądalski, którego życie składa się z podróży między ośrodkami w Polsce i Europie. - Zdarza mi się słyszeć, że zamiast służyć Bogu, leczę jakichś tam narkomanów. Mówią: wzięłby się ksiądz do księżej roboty. Ale mówią to ludzie, którzy chyba nie rozumieją, co to znaczy służyć Bogu.

## **Nauczyciel umierania**

W odróżnieniu od księży Tyberskiego i Augustyńskiego ksiądz Piotr Krakowiak nie zмага się ze złem wychowanków i z ich nieopanowaną energią. Pracuje z zupełnie bezbronnymi. - To nie tak, że obudziłem się i nagle postanowiłem pracować w hospicjach - wspomina. - Kiedy zacząłem pisać pracę magisterską, na jej temat wybrałem cierpienie. O pomoc poprosiłem księdza Eugeniusza Dutkiewicza, założyciela i dyrektora

gdańskiego hospicjum. Ale ksiądz Dutkiewicz poszedł w zaparte. Powiedział, że najpierw sam muszę odwiedzić hospicja. Gdy towarzyszyłem w śmierci dziewczynie, mojej rówieśnicy, postanowiłem związać swoje życie z hospicjami.

Po 15 latach jest dyrektorem gdańskiego Hospicjum Pallottinum, założycielem Fundacji Hospicyjnej i krajowym duszpasterzem hospicjów. Pod jego opieką znajduje się ponad 120 hospicjów w całej Polsce. Dodatkowo walczy teraz z urzędnikami Narodowego Funduszu Zdrowia. Stworzyli oni szczegółowe zasady opieki paliatywnej, ale uznali przy tym, że hospicja dziecięce winny być tylko dla tych dzieci, które rokują wyzdrowienie, i że nie powinny one tam przebywać dłużej niż 90 dni. - NFZ zapomina, że hospicjum to ma być dom, gdzie przeżywa się ostatnie dni - tłumaczy ksiądz Krakowiak.

Taka wszechstronna aktywność jest, zdaniem księdza Krakowiaka, wpisana w samo bycie palotynem. - Nasz założyciel, święty Vincenzo Pallotti, był spowiednikiem trzech papieży, kapłanem więźniów i chorych, do tego inicjatorem apostołstwa świeckich w Kościele - wylicza. - Pewnie dlatego udaje mi się łączyć te wszystkie obowiązki.

W tym zapracowaniu udaje się księdzu Krakowiakowi nie zagubić powołania. W swojej książce "Zdażyć z prawdą" najlepiej opisał wyjątkowość duchowej posługi w hospicjum: "musiałem odwiedzić z komunią prawie dwa tysiące ludzi. Dla jednych byłem męczącym budzikiem w sutannie, dla innych utrapieniem przy porannej toalecie albo wyrzutem sumienia, dla niektórych wreszcie wyczekiwany zwiastunem nadziei. Na mój widok zatrząskuje się drzwi albo wypowiada pośpieszne ?Pochwalony=. Nieustanny pośpiech. Należy zdażyć przed salowymi, które, wjeżdżając ze śniadaniem, niepodzielnie rządzą oddziałem. Chwilę później obchód z profesorem na czele i całą procesją białych fartuchów. Pośpiech, frustracja, kilka spowiedzi, msze w obskurnej kaplicy".

### **Made by benedyktyni**

- Powinienem się już z tym oswoić, ale nadal jestem zaszokowany zainteresowaniem, jaki wzbudził nasz pomysł - mówi benedyktyn ojciec Zygmunt Galoch. Umówił nas między mszą, zajęciami na studiach a spotkaniem z kontrahentami. Nie resocjalizuje kryminalistów, nie wychowuje trudnej młodzieży, nie niesie posługi umierającym - a jednak dziennikarze nie dają mu ostatnio spokoju.

Po dziedzińcu opactwa w Tyńcu przechadza się kilkunastu turystów. Drugie tyle siedzi w restauracji w podziemiach klasztoru. Przed wyjściem pójda do klasztornej sklepiku. Półki, które o jedenastej pełne są konfitur, suszonych owoców i innych przetworów, po pierwszej są już przetrzebione.

Benedyktyni swój biznes szczegółowo zaplanowali. Sięgnęli do archiwów i znaleźli przepisy kulinarne sprzed wieków. Potem zarejestrowali własną markę i opatentowali przepisy na przetwory, miody czy sery. Następnie podpisali umowy z kilkunastoma rodzinnymi firmami produkującymi żywność i nawiązali współpracę z krakowskimi

supermarketami Alma. W efekcie konfitura medytacyjna, borowiki w zalewie nowicjackiej czy smalec mniszy z czosnkiem będzie można wkrótce kupić w całej Polsce.

Ich biznes został zauważony. - Może dzięki temu pojawią się nowe powołania? - zastanawia się ojciec Galoch, który do zakonu wstąpił w wieku 31 lat i przez pierwsze siedem lat był księdzem w jednej z mazurskich parafii. - Dziś jesteśmy jednym z najmniejszych zgromadzeń w Polsce. Jest nas ledwie kilkunastu.

Ojciec Galoch kończy podyplomowe studia z zarządzania przedsiębiorstwami i managementu. - Zaprosiliśmy do współpracy braci z opactwa Paannonhalma na Węgrzech, którzy wesprą przedsięwzięcie winami własnej produkcji. A z klasztoru z okolic Padwy planowane jest sprowadzanie kosmetyków produkowanych na bazie miodu przez tamtejszych zakonników - wylicza ojciec Galoch. - Nasza strategia biznesowa zakłada utworzenie w ciągu dwóch lat stu punktów sprzedaży w całej Polsce. Od kilku dni działa nasz sklep internetowy, w którym codziennie składanych jest 40 zamówień.

Przypomina, że zakony zawsze były prężnymi ośrodkami życia gospodarczego. - My tylko wracamy do średniowiecznych korzeni - wyjaśnia. - Jesteśmy pierwsi w Polsce, ale na świecie wiele zakonów rozwija podobne biznesy.

Ponad 20 klasztorów z okolic Grenoble we Francji utworzyło związek kupiecki i przez Internet sprzedają pierniki, konfitury, piwa i sery. Karmelitanki z Verdun dzięki Internetowi podwoiły sprzedaż produkowanych przez siebie pierzyn z gęsich piór.

Za wzór adaptacji mogą służyć trapiści z USA, którzy zajęli się produkcją T-shirtów z religijnymi napisami, prowadzą piekarnię, sprzedają wysyłkowo własne konfitury i miód. A ośmioosobowa wspólnota Laser Monks, czyli cystersów z opactwa Spring Bank z Wisconsin, zarabia ponad pół miliona dolarów rocznie na produkcji tonerów do drukarek, projektowaniu stron internetowych i prowadzeniu baz danych na zlecenie.

- Przeor długo się zastanawiał, ale na szczęście udało mi się go przekonać - wspomina ojciec Galoch. - Wszystkie zarobione pieniądze przeznaczymy na utrzymanie klasztoru. Ale i tak ciągle słyszymy, że czarnym to tylko kasa w głowie.